

się on z kumoszek gadatliwych, sąsiadów, sklepi-karek i dostawców i wzrastał z każdą chwilą.

Wiliam Tharps uśmiechnął się ironicznie, kiedy powóz, którym jechaliśmy, wjechał w ulicę, gdzie znajdował się pensjonat pani Donay. Wysiadł po-spieszenie i nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie, wszedł na schody.

Byłem przypadkowo w jego mieszkaniu, kiedy inspektor Audral, jeden z jego zaufanych ludzi, za-wiadomił go telefonicznie o zaszłym wypadku. Nie porozumiawszy się nawet ze mną, pociągnął mnie przemocą do automobilu, przejeżdżającego właśnie ulicą i przybyliśmy do Saint Mande w pięć minut zaledwie po przyjeździe komisarza policyjnego i ajentów.

Z przyjemnością prawdziwą śledziłem zawsze zdmnienie pana Dumont, szefa policyi, ilekroć na miejscu nowo dokonanej zbrodni zjawiał się nagle i nieoczekiwanie mój przyjaciel. Ale tym razem twarz jego wyrażała takie silne i komiczne zdziwienie, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Pan Dumont, kiedy minęła pierwsza chwila osłupienia, podszedł do nas z wyciągniętą ręką i rzekł dobrodusznie:

— Pan musi mnie zawsze uprzedzić, panie Tharps. Niech mnie dyabeł porwie, jeżeli wiem, skąd się pan równocześnie z nami dowiaduje zawsze o popełnionych zbrodniach. A przecież to nas uprzedzają pierwszych.

Wiliam Tharps nie uznał za potrzebne tłumaczyć się jaśniej i odparł żartobliwie:

— Unika pan w ten sposób potrzeby komuni-kowania mnie, panie Dumont. Oto wszystko. — A przyznać pan mnsisz, że niejednokrotnie do-po-mogłem wam dzielnie w waszej pracy.

— A mnie się zdaje — rzekł pan Dumont — że umiał pan sobie wyrobić posłuszeństwo u moich podwładnych.

Wiliam Tharps w odpowiedzi uśmiechnął się tylko i pośpieszył do ogrodu.

Widziałem, jak dokładnie badał trawnik pod oknem pokoju pana d'Orwalda, mierzył, oddalał się, by znowu powrócić i mierzyć raz jeszcze, zastana-wiając się przytem głęboko. Kiedy po paru minu-tach znowu przyłączył się do nas, dostrzegłem na jego twarzy tajemniczy uśmiech. Ale nic się od niego dowiedzieć nie mogłem, bo znikł natychmiast, a kiedy zjawił się po chwili, najspokojniejszym gło-sem zapytał szefa policyi o wynik jego spostrzeżeń. Pan Dumont powtórzył mu tylko odebrane od agenta nieliczne wyjaśnienia, a następnie wszyscy w towa-rzystwie sędziego śledczego pana Cramagel byliśmy obecni przy przesłuchaniu gości z pensjonatu pani Donay i służby. Lecz przesłuchanie to nie ujawniło nic nowego. Goście pani Donay, jak również i ona sama, byli tak wzrnszeni i zdumieni tem tragicznem odkryciem, iż nic logicznego od nich usłyszeć nie było można. Część z nich dopiero w ostatniej chwili dowiedziała się o wypadku, nagle przebudzona po-płochem, panującym w pensjonacie i krzykami nie mogącej się uspokoić pokojówki. Pan Dumont wraz z dwoma agentami zwiedził wszystkie pokoje mie-szkania i pozostawił inspektora na straży przy pu-stem łóżku pana d'Orwalda.

W pokoju tym nie odkryto żadnych śladów walki. Każdy sprzęt stał na swoim miejscu, łóżko przygotowane było na noc, obok stolik z karafką i szklanką nietkniętą. Tylko krwawe plamy, pozo-stałe na prześcieradle i palec odcięty, znalezione przez panią Donay, świadczyły o dokonanej zbro-dni. Poza tem jeszcze ślady, odkryte przez pułko-wnika Ricotte na parapecie okna, które, jak orzekł pan Dumont, pochodziły od drabinki sznnowej, którą posłużyć się musiał zbrodniarz.

Wiliam Tharps, uzbrojony w szkło powiększa-jące, badał każdy sprzęt, dywany i podłogę z dro-biazgową ścisłością. Trwało to dosyć długo. Kiedy nareszcie wyprostował się, żywy ogień błyszczał w jego jasnych oczach. Przenikliwym spojrzeniem objął raz jeszcze pokój cały. Na widok małych drzwi, wiodących do gabinetu toaletowego, twarz jego roz-jaśniła się, wszedł tam szybko i wyniósłszy parę trzewików, należących do pana d'Orwalda, zdjął z nich miarę i odrysował obwód podeszwy na ka-wałku papieru. Załatwiwszy się z tą czynnością, wymiary te schował do kieszeni i nie wyrzekłszy słowa, wyszedł z pokoju.

Znając go dobrze i będąc obecnym przy wielu jego śledztwach, wiedziałem, że już wpadł na trop zbrodni i że wkrótce tajemnica cała wyjaśniona zo-stanie. Widziałem go później, jak weszyl po wszyst-kich kątach domu, błądził po ogrodzie, trzymając wzrok spuszczone na ziemię i co chwila do znale-zionych odcisków stóp na ścieżkach i trawnikach przykładł wyciętą miarę podeszwy z trzewika pana d'Orwalda. Zdziwiony byłem mocno tym widokiem.

Czyżby Tharps przypuszczał, że lokator pani Donay symulował zabójstwo i uciekł potajemnie przez okno do ogrodu? Ale w jakim celu? Podczas tego pan Dumont i sędzia śledczy rozmawiali żywo, omawia-jąc sprawę, która zaciekawiała ich tajemniczością swoją.

Zabójstwo pana d'Orwalda, o którym nic zgola wiedzieć nie mogli, mniej ich dziwiło, jak nagłe zni-knięcie jego zwłok i to w chwili, kiedy mieszkańcy pensjonatu i służba, zaalarmowani wypadkiem, bie-gali po korytarzach i schodach.

Raz jeszcze zawezwali pokojową Julkę i zapy-tali ją, czy wszedłszy ze śniadaniem do pokoju lo-katora po odkryciu już jego śmierci, nie zauważyła, że tenże miał palec odcięty. Ten szczegół jednak uszedł zupełnie jej uwagi, co dało się łatwo wytło-maczyć pozycją ciała, spoczywającego w łóżku. Prawa ręka pana d'Orwalda leżała po stronie ściany, napół ukryta pod kołdrą.

Po odejściu służącej pan Dumont nie mógł nkryć swojego niezadowolenia.

— Jeszcze nigdy w życiu mojem nie spotkałem się z tak dziwnym faktem — rzekł do sędziego śledczego. — Mordują człowieka w pensjonacie zna-nym z jaknajlepszej opinii, odcinają mu palec, a na-stępnie trup jego znika! I do tego żadnych śladów walki w pokoju, żadnych śladów, mogących nam wyjaśnić sytuację.

— Żadnych śladów walki — powtórzył dobitnie wchodzący właśnie Wiliam Tharps. — Ten punkt jest najważniejszy. Poza tem nie wiemy nic. I zdaje mi się, że ta okoliczność zaważy najwięcej w śledztwie.

— Jak to pan rozumie? — zapytał sędzia śledczy.

— Dotąd rozumiem jeszcze bardzo mało — od-parł Tharps. — Konstatuję tylko wraz z panami, że nie było żadnych śladów walki i nad tem dobrze nam się zastanowić należy.

— Czy odkryłeś co w ogrodzie? — zapytałem.

— Tyle tylko, że morderca posługiwał się dra-binką sznurową, jak to już zauważyliśmy i że na zewnątrz niema żadnych odcisków jego stóp.

— To wszystko? — zawołałem rozczerowany — Masz słusność, mój kochany, twierdząc, że niewiele jeszcze wiesz o całej sprawie.

— Tak sądzisz? — uśmiechnął się tajemniczo Tharps — Poczekaj, powiem ci coś jeszcze. Wy-chodząc z tego pokoju, zebrałem pewne spostrze-żenia, które, jak przypuszczam, więcej panów zain-teresują.

— Mów, mów! — zawołałem uradowany, że nie zawiodłem się na nim.

— Przekonawszy się, że okno to wcale nie zo-stało naruszone — wyrzekł powoli Tharps — i że drzwi na wewnątrz na klucz nie były zamknięte, mogę twierdzić stanowczo, że zbrodniarz ma współ-nika, który ukrywa się w tym domu!

— Wspólnika? Tu w naszym pensjonacie? — zawołał pułkownik Ricotte, przysłuchujący się roz-mowie urzędników — To niemożliwe! Pan się myli!

— Nie myślę się, kochany panie — odparł zimno Wiliam Tharps — i należy tylko zastanowić się chwilę, aby uwierzyć w prawdziwość mojego twier-dzenia. By wejść przez okno zamknięte, przyzna pan, że trzeba rozbić jedną lub dwie szyby, wsunąć ra-mię przez otwór i otworzyć. Otóż, jak panowie wi-dzą, szyby tego okna są wszystkie nietknięte.

— To prawda! — przyświadczył sędzia śle-dczy — Spostrzeżenie pana Tharpsa jest zupełnie słuszne.

— Dodajmy jeszcze do tego — mówił dalej de-tektyw — że, jak już wiemy, użyto drabiny sznu-rowej. Otóż tylko współnik, zamieszkujący pen-sjonat, mógł wyświadczyć tę przysługę zbrodnia-rzowi, zamknąć okno i drzwi i wyjść następnie z pokoju.

— Ależ to jest całkiem logiczne! — rzekł pan Dumont — Żo też wcześniej nie zauważyliśmy tego!

— W takim razie ja byłbym tu zbyt cenny — odparł z udaną skromnością Wiliam Tharps — Pan zapomina, panie Dumont, że już niejednokrotnie współdziałałem z panem i to dosyć szczęśliwie.

Po twarzach urzędników policyjnych przebiegl cień niezadowolenia. Czuli się zawstydzeni, że i tym razem detektyw angielski okazał się przebieglejszy od nich.

Tylko jeden pułkownik nie chciał się znać za pokonanego.

— A może znajdzie się inna hipoteza, któraby lepiej wyjaśniła stan rzeczy — rzekł, zwracając się do sędziego śledczego.

— Jest jeszcze jedna — odpowiedział z lekkim zniecierpliwieniem detektyw. — Możliwym jest, że pan d'Orwald sam sobie okno otworzył i w ten sposób ułatwił przejście swojemu mordercy.

— Ależ to absurd, kochany panie — zawołał pułkownik Ricotte, ze zdumieniem patrząc na Wi-liama Tharpsa. Detektyw w milczeniu wzruszył ra-mionami i odwrócił się w inną stronę, zaznaczając w ten sposób, że niema już nic więcej do powie-dzenia.

— Przypuszczenie to jednak — odezwał się do-tąd nie mieszający się wiele do rozmowy sędzia śledczy — tłumaczyłoby, dlaczego w pokoju zbrodni nie odnaleźliśmy śladów żadnych. Bo przecież pomię-dzy mordercą a ofiarą walka wywiązać się musiała, gdyby nawet ta ostatnia we śnie zaskoczona została. Ta okoliczność jest dosyć ważną.

Po chwili wyszliśmy wszyscy z pokoju pana d'Orwalda i zeszliśmy do gabinetu pułkownika Ri-cotte, gdzie już w obecności pani Donay ciągnęliśmy rozpoczętą rozmowę.

Pani Donay, zainterpelowana przez pana Dumont, oświadczyła mu, że przyjęła pana d'Orwalda do swojego pensjonatu na mocy polecenia jaknajpo-ważniejszego, że jej znajomi wyrażali się o nim jak-najlepiej.

Sędzia wysłuchał jej słów i zapytał nagle po dłuższym milczeniu:

— Czy przypuszcza pani, że jej lokator mógł dobrowolnie wpnieć do swojego mieszkania czło-wieka, który następnie stał się jego mordercą?

Młoda kobieta nie wiedziała, że przypuszczenie to już było przez urzędników policyjnych omawiane i ze zdumieniem spojrzała na otaczających.

— Ah! Co za szczególna myśl — zawołała żywo poruszona — Panowie sędzicie, że ten nieszczęśliwy, młody człowiek sam wprowadził tu swojego mor-dercę? Ale to niemożliwe. Zresztą zareczyć mogę z wszelką pewnością, że nikt obcy nie wchodził do mojego domu. Musiałabym przecież pierwsza być o tem poinformowaną.

— Ja tylko myślałem o wejściu przez okno — rzekł sędzia — bo jak wiemy, inną drogą zbrodniarz nie mógł się tu wcisnąć.

W kilku słowach opowiedział pani Donay o spo-strzeżeniach uczynionych przez detektywa angiel-skiego.

Ale pani Donay niedowierzająco potrząsała głową.

— Nie, nie! To niemożliwe! — powtórzyła z przekonaniem — Panowie mylicie się niezawodnie. Dlaczego tak źle sędzicie o moim lokatorze, który wzbudził n nas tylko ogólną sympatię i zaintere-sowanie? I w jakimże celu pan d'Orwald miałby w taki dziwny sposób sprowadzać do siebie niezna-nego jakiegoś człowieka? To był człowiek zanadto wytworny i dobrze wychowany, ażeby się nciekał do tak podejrzanych środków! Nie mogę uwierzyć, żeby to mogło być prawdą!

Pan Cramagel nie nalegał więc dłużej na tym punkcie i wyjawiał drugie, ogólne przypuszczenie, że w pensjonacie, pomiędzy gośćmi lub też służbą mógł się znajdować współnik ukryty, który ułatwił mordercy całe zadanie.

Ale i ten wniosek pani Donay odrzuciła żywo, ulegając jednak żądaniu sędziego śledczego, kazała zwołać całą służbę pensjonatu. Byli to wszyscy ludzie, którzy oddawna pracowali u niej i którym ani ona, ani pułkownik nie mieli nigdy nic do za-rzucenia.

Co zaś do lokatorów, nie było ani jednego, o którymby nie powzięli informacji poważnych, przed umieszczeniem ich w pensjonacie. Ze wszyst-kimi pani Donay utrzymywała życzliwy i przyja-cielski stosunek, uważając ich za członków swojej rodziny.

Obecnie znajdowała się n niej panua Conlanges, córka byłego ministra, panie Bertoneau, matka i żona kapitana, panna Privat, dyplomowana konserwaty-stka, państwo Wilson, bogaci fabrykanci z Londynu, markiz de Santa-Cruza, kuzyn księcia Tolesco, wkońcu ostatnim przybyłym był profesor Schoetten, surowy i poważny uczony i dwie stare arystokratyczne ro-dziny z Paryża.

— A czy może nam pani powiedzieć coś więcej szczegółowego o panu Schoetten? — zapytał Wiliam Tharps.

— To ciekawy typ — oświadczył pułkownik Ricotte — dawno nie widziałem takiego człowieka. Stary, zasuszony profesor, nie zajmujący się niczem, tylko swojemi księgami i pergaminami. Nie wychodzi prawie z pokoju i cały dzień śleczy nad zeszytami, które pokrywa niezrozumiałymi hieroglifami. Dziwak i niedołęga stary.

— Jesteś wuju bardzo złośliwy! — rzekła pani Donay, uśmiechając się — Lubię bardzo profesora Schoetten i nie pozwalam ci ośmieszać go w ten sposób.

(Dalszy ciąg nastąpi).